

Maria Sołowiej

**NIE MUSI
BYĆ DOBRZE**



Maria Sołowiej

**NIE MUSI
BYĆ DOBRZE**

© Copyright by Maria Sołowiej & e-bookowo

Fotografia na okładce: shutterstock

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN e-book 978-83-7859-929-6

ISBN druk 978-83-7859-930-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2018

WSTĘPNIE

Na pewnym etapie poniższej pisaniny pozwoliłam sobie podzielić ją na trzy części. Pierwszy rzut. Stagnacja. Drugi rzut.

Pierwszy rzut choroby nowotworowej. Od chwili, kiedy sprawa staje się oczywista (lub prawie oczywista) – to rak – przez operację, dokładną diagnozę, terapię, do... No właśnie – jakoś nikt nie mówi o wyzdrowieniu. Czasem padnie słowo remisja, specjalista od badań obrazowych – porównując wyniki kolejnych badań – napisze coś o stagnacji. Jest jak było, nic nowego, zobaczy się później, na razie dobrze. Stagnacja czyli chwile, miesiące, może lata względnego wytchnienia, podczas gdy lekarze uparcie co jakiś czas szukają znamion powracającej choroby. Bo przecież wraca, prawie zawsze wraca, w zaawansowanych przypadkach to cud, jeśli nie wróci.

Jej powrót to właśnie drugi rzut. I na próżno początkujące chore szukają w internecie informacji o trzecim i czwartym rzucie. Trzeciego i czwartego rzutu nie ma, bo drugi, niezależnie od tego czy trwa krócej czy dłużej, bezbłędnie prowadzi do śmierci.

Tak naprawdę umieranie zaczyna się dużo wcześniej. Nie pomaga rozpaczliwe machanie rękami i nogami, żeby udowodnić: jeszcze żyję. Może raczej obumieranie – kompletne przestawienie życia pod dyktando choroby, stopniowa utrata wszystkiego, co było czy do tej pory wydawało się ważne.

I. PIERWSZY RZUT

wiosna 2012

BYŁO SOBIE ŻYCIE

Tytuł pierwszego rozdziału trochę jak podręcznika biologii dla opornych, ale jakoś nie umiem wymyślić nic innego. Było... Drzwi samochodu zatrzasnęły się. Wieko od trumny – pomyślałam. To koniec. Teraz zaczyna się umieranie rozłożone na raty.

A niedawno jeszcze żyłam. Nocą ogrzewałam brzuch ciepłą butelką, żeby jelita jakoś ruszyły. Rano zakładałam mojemu panu pończochy przeciwżylakowe i dbałam o to, żeby uśmiech trzymał się mojej twarzy jak dobry makijaż. „Jak się pani czuje? – pyta mój pan, kiwając do mnie palcami u nóg. „Gut. Gut. Schon gut” (to znaczy „Dobrze, dobrze. Już dobrze” – kłamię bezczelnie. Albo: nieźle – to wersja na dzień, kiedy jest naprawdę kryzysowo.. Albo: już lepiej, kiedy rzeczywiście jest lepiej niż wczoraj. A kiedy mój pan wyraża wątpliwości, lęk i troskę o mnie, przytulam na chwilę mój policzek do jego

policzka i zapewniam, że naprawdę nie ma się o co martwić. „Treue Seele” – mówi o mnie mój pan, po polsku „wierna dusza.”

Przy śniadaniu gryziemy sucharki. „Nie musi pani jeść sucharków z sympatii do mnie” – zapewnia mnie podopieczny. To nie sympatia. Prawie nic nie potrafię już przełknąć. Żartujemy z mojego wodobrzusza.

„Och, wolę nie wiedzieć, co powiedzą sąsiedzi, kiedy mnie zobaczą po powrocie do Polski. W październiku przyjechała z Niemiec taka rozpromieniona, a teraz patrzcie: jest efekt. No, no... Stary chłop, a jeszcze może.”

„Tak, tak. Będą bliźniaki” – śmieje się mój pan.

Wtóruję mu śmiechem i dorzucam swoje: „O, tak... Jeden podgryza mi jelita, a drugi wątróbkę.” Wisielczy humor. Taki jak pana doktora von Hirschhausena na płycie z lekarskimi br... dowcipami, którą przysłała na Wielkanoc była przyjaciółka mojego pana... Skąd mam wiedzieć, że to nie ostatnia faza choroby nowotworowej? Skąd mam wiedzieć, że przy raku jajnika wodobrzusze pojawia się nieco wcześniej? I że ten wierzący ból w żebrach po jedzeniu i picciu, niesmak w ustach, mdłości, trudność w przełknięciu czegokolwiek poza paroma krakersami, zupką z banana czy paroma łykami wody z glukozą – że to wszystko nie kompletnie zniszczony układ pokarmowy, tylko uciskający nowotwór. Tyle, że rozrośnięty do monstualnych rozmiarów. Jak spora głowa kapusty – w środku lity guz, wokół niego szara masa gruczolaka, a na wierzchu torebeczki z galaretką. Guz wypełniał całą jamę brzuszną – napisali później. Myślałam, że to koniec... Nieprawda, między kolejnymi uderzeniami czarnych myśli łudziłam się. Może ucisk jakiegoś łagodnego guza... Wytną

i po strachu. Może coś z wątrową. Też niedobrze, ale w końcu przy odpowiedniej diecie i lekach można żyć lata. Dopóki się człowiek ludzi, da się jakoś żyć.

Więc jeszcze niedawno żyłam sobie.. Mój pan idzie pod prysznic. Siada na tym urządzeniu, którego nie cierpi tak jak rolatora (balkonika po naszymu, znaczy się), bo przypomina mu o jego niesprawności i zależności. Myję mu głowę, plecy, nogi, „Nóg nie” – protestuje. Że niby inne tego nie robiły. Dobra, dobra. Inne nie robiły, ja robię. Po swoim. Obrączka leci mi z palca, który zrobił się przeraźliwie cienki. Muszę ją zdjąć i dobrze schować.

„A nie mogłaby jej pani zgubić? – mówi mój pan. – Nie przyjęłoby pani w domu i musiałyby pani ze mną zostać.”

Uśmiecham się, a przez głowę przemyka mi: zaniedługo byłabym tu już tylko ciężarem, a przecież przyjechałam do pracy. Do pracy, w której wyrabiam się tylko dlatego, że zajęć tu mniej niż w domu. Gdyby nie sprzętaczka rodem z Kazachstanu, która przychodzi raz na tydzień, byłoby trudniej. A tak: pobudka przed dziewiątą, prasa na stół, żaluzje do góry. Pomoc przy ubieraniu. Śniadanie... Lekarz, Lidl, czasem cmentarz. Obiad, odpoczynek poobiedni, kawa, ciasto. To cud, że jeszcze potrafię coś niecoś upiec. Spacer, telewizja, pomoc w rozebraniu się, nakrycie kołderką, dobranoc, miłych snów.

To było życie. Idziemy z moim panem pod chłodny, kwietniowy wiatr. Cieszę się, bo dzisiaj nic nie boli i nawet jelita jakoś tam pracują. Auta szumią po niedalekiej autostradzie, a tu łąki i pola. Idziemy wolno – pod górę, pod rękę. Krótkie postoje na złapanie oddechu, na wysiłek nosa. Kombinujemy sobie

czysto teoretycznie, gdzieby tu można uprawiać seks. Ozimina już dosyć wysoka, więc czemu nie. Jare jeszcze za niskie. Może w krzakach przy autostradzie albo w lasku. Albo w zaparkowanym pod laskiem samochodzie. To w końcu nie mały fiat, w którym trzeba by spuścić szyby albo wykręcić reflektory. „Co by syn pana powiedział, gdyby usłyszał takie rozmowy?” – dopytuję, uśmiechając się figlarnie. „Mój syn? Jest realistą. Stwierdziłby, że jeszcze jest za zimno.”

Żyłam. Choć sztuka przeżycia wymaga ode mnie coraz bardziej umiejętnego rozłożenia sił. Prasowanie najlepiej rano, tuż po przebudzeniu się. Brzuch osłaniam swetrem, szczególnie kiedy do płotu podchodzą sąsiedzi – pan profesor anestezjolog albo jego żona ginekolożka, ta, która była niegdyś przy narodzinach księżniczki...

Nieźle było to życie. Jadę z moim panem na bagnisty pła-skowyż. Taka ciekawostka przyrodnicza, którą muszę koniecznie zobaczyć. Przed śmiercią – ciśnie mi się na usta, ale tylko uśmiecham się najbardziej czarująco jak potrafię. Na obiad wmu-siłam parę kęsów i teraz, kiedy trzymam ręce na kierownicy, ból świdruje mi w żebrach. Gdybyśmy zostali w domu, mogłabym położyć się na chwilę albo chociaż podnieść ręce do góry. Roz-ległe bagna są naprawdę piękne, ale kiedy wracając nadkładamy drogi, żeby jeszcze zobaczyć jakieś miasteczko, mam dosyć. „Jest pani naprawdę chora” – mówi mój pan. „Dobra, dobra. Po czym pan to poznał?” „Jest pani niecierpliwa. I śpiewanie pani przeszło.”

A jednak żyłam całkiem nieźle jeszcze w okolicach świąt. W Wielki Czwartek mój pan już bardzo stanowczo wygania

mnie do lekarza. Skończyły się bajeczki, że poszczę, bo to Wielki Post albo takie sobie kłopoty z woreczkiem żółciowym zmuszają mnie do przeżuwania papek. A niemiecki lekarz mówi mi, że sprawa jest poważna i że powinnam wracać do Polski. Jeśli nie przed świętami, to tuż po. I jeśli nie da się nic przełknąć, to chociaż pić koniecznie...

W Wielki Piątek o mało nie przewracam się na krzyż wyłożony do ucałowania. Brzuch jakoś tak ciągnie mnie do przodu. W Wielką Sobotę jeszcze wyprawa do Lidla. Potem latam po deszczowym ogrodzie i tnę sekatorem zielone gałązki. Dekoruję stół i piekę ciata. Po raz pierwszy odkąd tu jestem, ciasto mi się nie udało. Piekę kolejne.

W wielkanocny poranek mój twardy brzuch dziwnie mięknie. Słucham w kościele wspaniałych chóralnych śpiewów i złoścę się. Jest mi lepiej. Dlaczego zdecydowałam się na powrót do domu? Wieczorem znów to samo co przedtem. I jeszcze gorzej – dochodzą objawy zapalenia wyrostka. Widać ta krótka poprawa była tylko małym cudem na dzień Zmartwychwstania.

Wielkanocny poniedziałek u rodziny mojego pana. Ubieram białą bluzkę w delikatną srebrną kratkę – prezent od siostry. Z krótkich rękawów sterczą patykowate ręce. Spódnica coraz ciaśniejsza na wyдутym brzuchu. Dzień udany, mimo że znów prawie nic nie mogę przełknąć. Herbata, dżemek. Trochę ciasta na słono z odrobiną szynki i suszonego pomidora. Pogawędki przy stole całkiem przyjemne. „Jadę, ale to żaden problem. Łatwo mnie przecież zastąpić.” „Jakby to pani powiedzieć... I tak, i nie” – mówi synowa mojego pana, wszyscy się uśmiechają, a ja mam ochotę wpaść pod stół. Miła kobieta z tej Urszulki. Przy

tym docenia nie tylko moją pracę, ale także dowcip i zuchwałą pogodę ducha, która nie opuszcza mnie nawet w chorobie. No i to czego na Zachodzie ze świecą szukać – zaufanie do Boga. Z tym zaufaniem sprawa nie jest taka prosta, ale skoro Ursula tak myśli...

We wtorek agencja zawiadamia mnie, że już kogoś szukają na moje miejsce. Dopiero teraz szukają... Zgłupieli czy co? Najwyraźniej nie bardzo wierzą w wersję o chorobie. Trzeba było im faksem przesłać świstek od lekarza. Szukanie zastępstwa idzie tak wolno, że jeszcze udaje mi się zaliczyć urodziny mojego pana, upiec ciasto, nakryć stół obrusem haftowanym w krzyżkowy błękit. No i ta ostatnia rozmowa z firmą. „Naprawdę nie może pani jechać autobusem?” – dziwi się firmowy anioł stróż. Tłumaczę, że moi są już w drodze po mnie. Synowa mojego pana odetchnęła z ulgą, kiedy dowiedziała się, że mogą przyjechać i długo perswadowała mi, że tak będzie najlepiej. Samolot to konieczność dojazdu na lotnisko, odprawa, noszenie bagażu. Autobus – długie godziny siedzenia. „Przyjeżdżają dzisiaj? Ale wymiana jest dopiero jutro” – mój anioł stróż informuje mnie o tym, o czym dobrze wiem. „Zostaną tu do jutra.”

Na stole zapalona urodzinowa świeca mojego pana. Siedzimy naprzeciw siebie i czekamy. W jego oczach już nie ma starczej fascynacji. No tak, schudłam i zbrzydłam. Ostrzegłam już moich, że wyglądam źle..

W końcu są – wieczorem. Jarek i Basia. Mój mąż i siostra. Pędzili tak od rana, żeby mnie stąd zabrać i ratować. Następnego dnia Basia wyciera za mnie wszystkie kąty i pilnuje obiadu, a ja wtajemniczam moją zmienniczkę Asię w tajniki jazdy sa-

mochodem z automatyczną skrzynią biegów i pokazuję najważniejsze punkty w okolicy – tu supermarkety, tam lekarz rodzinny. Taka sobie Asia, czarnowłosa, młoda, ale ze sporym doświadczeniem w opiece. Zostaje tu właściwie z litości nade mną. Jak sama wyznaje, gdyby nie mój stan, nie siedziałaby ani dnia u tego okropnego starego gaduły. No i dobrze. Za miesiąc przyjedzie tu Ana, która na razie siedzi gdzieś w Bremie. Porobiło się przez tę przyspieszoną, nieplanową wymianę, ale z czasem będzie jak dawniej. Jeśli wszystko przebiegnie pomyślnie, jeśli będę miała wreszcie płaciotki brzuch, jeśli zdecyduję się znowu jeździć do Niemiec, to tylko tutaj – tak twierdzi mój pan z dyrektorską kategorią w głosie.

Moi bliscy pytają, dlaczego zwlekałam tak długo? Milczę, bo jak tu wytłumaczyć, że chciałam jak najdłużej żyć, a jak najkrócej umierać. Życie jest piękne nawet wtedy, kiedy mdli, kiedy ból rozwierca żebra, kiedy lekka duszność budzi w nocy, a potem do rana nie pozwala zasnąć lęk przed śmiercią – dziwna mieszanina klaustrofobii, tęsknoty i wściekłości. Jeśli wytrwale odmawiać „tajemnicę szczęścia” – twierdzą pobożni – pozostaje tylko tęsknota.

Już dobrych parę lat temu wyczułam, że coś jest nie tak. I wybrałam. Pomyślałam sobie – no cóż, pójdiesz do lekarza i kiedy uda ci się przeżyć pięć lat jako pokrojone, naszpikowane chemią zombie, medycyna odtrąbi to jako swój wielki sukces. A może uda się przeżyć pięć lat bez tej pomocy? Prawie się udało. Cztery i pół roku względnie komfortowo, trzy miesiące trochę mniej. W tym czasie z mężem remontowaliśmy dom na wsi. Przeszłam na wcześniejszą emeryturę, oficjalnie ze względu

na wypalenie zawodowe i po to, by ustąpić miejsca młodszym, pełnym energii i pomysłów, a naprawdę po to, żeby trochę zwolnić obroty i umrzeć na obrotach, choćby trochę zwolnionych. Albo przynajmniej tak jak moja koleżanka Ala – w lutym nasilający się ból, w marcu diagnoza, kwiecień w szpitalu, śmierć na początku maja.

Dorabiałam nieco korepetycjami i tłumaczeniami. Buszowałam po lasach w poszukiwaniu grzybów, od których stałam się prawdziwą specjalistką. Zdarzało mi się rowerem przejechać kilkadziesiąt kilometrów, a czasem i sto. A potem jeszcze poizaurzyłam sobie w Niemczech, bo trzeba było pozbyć się długów, których nzbierało się trochę przez ten remont, no i jeszcze zrobić coś niecoś na wesele syna. Do Niemiec jechałam z lekkim poczuciem krzywdy – ostatni rok z tych pięciu, które postanowiłam jeszcze przeżyć, spędzę jako szwabska niewolnica. Tymczasem nie było źle. A teraz czeka mnie już tylko śmierć na raty. (*Dla młodszycy – izaurzyć, to od Isaury, niewolnicy z telenoweli.*)

OBRÓBKA WYKRAWANIEM

Życie różni się od śmierci na raty tym, że można robić to, co się chce. No tak. „Być królem to nie zawsze robić to, co się chce” – kiedyś jakiś dziesięciolatek z poważną miną rzucił nam w pociągu tym cytatem z disneyowskiego „Króla Lwa.” Moja siostra tłumaczy mi jak dziecku: nikt, kto ma choć trochę poczucia obowiązku, nie może robić, co chce. Oczywiście oczywiście. Jednak ofiarowanie czasu i wysiłku innym to coś zupełnie

inngo niż rzucenie się na taśmę i poddanie medycznej obróbce. Innym? Wobec siebie także mamy obowiązki. Jak to było z trzema prawdami po góralsku? „Prowda, tyz prawda i gówno prawda.” Chciałabym huknąć, że gówno prawda, ale pokornie spuszczałam głowę i przyznaję: „Tyz prawda.”

Rano po przyjeździe idę do lekarza. Nie chcę, ale muszę. Właściwie chcę, bo muszę. Kiedy syn postanowił się ożenić, trzeba jakoś dożyć do wesela. Przynajmniej spróbować. Błąd. Chcę nie tylko dlatego, że muszę. Lekarze już wiedzą, a ja chwilami się łudzę. Może będzie jeszcze wielkie zdziwienie, kiedy okaże się po operacji, że to nie to, co myślałam... Moja pani doktor szybko załatwia mi wszystkie badania – laboratorium, USG, ginekolog. Rewanżuję się wyjaśnieniem, co czuje takie stworzenie z wodobrzuszem podczas uciskania brzucha. Żadnego ostrego bólu, nieprzyjemne odczucie z ogranicza tępego bólu i łaskotania.

Ginekolożka kieruje mnie na oddział. Na skierowaniu „pilne” z wykrzyknikiem. Ale pielęgniarka oddziałowa, zacna matrona z charakterem, wzdycha przeglądając swój kajet. Po pierwsze: nie bardzo wie, gdzie mnie wcisnąć, po drugie: ma wątpliwości czy to aby na pewno takie pilne. Decyzję musi podjąć sam pan profesor ordynator, który będzie w poniedziałek. Trzeba punktualnie o ósmej zjawić się przed drzwiami jego gabinetu, bo później będzie miał ważniejsze sprawy niż jakieś tam przyjęcie.

Siedzę w domu. Dzwonek do drzwi, na progu stoi mama. Jakim cudem trafiła tutaj, z coraz bardziej zawodzącą pamięcią? Matczyna intuicja.

„Przez weekend w domu, nie w szpitalu? – dziwi się pani, która robi mi usg jamy brzusznej – Powinni panią zostawić”.

I tak nic nie widać przez tę wodę. A ja nie mam siły tłumaczyć, że jeszcze nie wiem czy mnie w ogóle przyjmą. Ktoś z moich znajomych twierdzi, że dawniej do każdej pacjentki z pilnym skierowaniem ordynator przyjeżdżał osobiście, żeby podjąć decyzję. Oj, chyba w zamierzchłych czasach.

W poniedziałek od rana waruję przed drzwiami gabinetu. Ojczym kolegi, którego minęłam – ojczyma nie kolegę – przy wejściu do szpitala, robi oczy jak pięcioletówki. Kim właściwie jest to wychudzone stworzenie? Podobne do kogoś, ale to chyba niemożliwe...

Prawie dwie godziny siedzenia... Przed nudą ratuje mnie pogawędka z fotografką – specjalistką od fotek najmniejszych maluchów. Przed niedocukrzeniem ocala batonik podsunięty przez życzliwych. Na widok ordynatora zrywam się na równe nogi. Jedną ręką poduwam mu pod nos skierowanie, drugą wskazuję na brzuch pod zielonym płaszczem. „Jasne, że tu musi być przyjęcie” – krótka decyzja pana profesora i następnego dnia ląduję na oddziale.

Doktorzy dobrze maskują złość na tę babę, która wyszła z buszu i przez lata nie zaliczała obowiązkowych, regularnych babskich badań. Młody lekarz, który na wejściu robi mi USG przezpochwowe, stara się być delikatny i patrzy na mnie niebieskimi, przerażonymi oczami. Ostrożnie waży słowa, kiedy opisuje to, co widzi na ekranie. Tak wielką zmianę nowotworową zobaczy pewnie następnym razem, kiedy pojedzie gdzieś daleko jako lekarz bez granic. Torbiele, wypustki. Mam ochotę zażartować, że w sumie ładna ta bestia, ale drugi, starszy lekarz – przy komputerze – jest tak śmiertelnie poważny. Moje nazwisko coś

mu mówi. Czy jest pani spowinowacona z doktorem... Aa, synowa... Zapewne myśli sobie: no proszę, lekarska rodzina, a tu taki busz. Czekam długie leczenie, mówi. Prosi o rozważne przeczytanie paru kartek przed podpisaniem zgody na operację.

Pan doktor Z. Znany jest z tego, że żartuje. Niczym doktor Hirschhausen na cedece, którą była przyjaciółka podarowała mojemu panu na „zajęczka”. „A pani Marysia to do remontu.” „Dobrze, że do remontu, a nie do kasacji” – odpowiadam. Patrzcie, jeszcze nie przeszedł mi humor. Nawet mojemu starszemu z A. posyłam na komórkę oprócz informacji o operacji jakieś kawały.

Poza tym to brzuszysko już naprawdę mi dokucza. Bałam się, że będą jeszcze wbijać gdzieś igłę i ściągać płyn z otrzewnej. Ale nie, już nie trzeba. Wielu modli się za mnie. Aż mi głupio. Za moich biedaków z okolic okołobidulowych nikt się nie modli. Sama też się modlę. Wprost do Pana Jezusa i za przyczyną profesora Fijałkowskiego. Nie został on wprawdzie jeszcze ogłoszony sługą Bożym, a co dopiero błogosławionym czy świętym, ale to nic. Czuję, że jakaś siła łagodnie mnie niesie. Opieram głowę jakby na czyimś ramieniu. Jest mi dobrze i nie boję się niczego. A kiedy rano ksiądz Stanisław na chybicka udziela mi sakramentu namaszczenia chorych, jeszcze bardziej nie boję się niczego – jeśli to możliwe.

Właściwie nie wiem, dlaczego myślałam, że może uda mi się lekko i bezboleśnie umrzeć podczas operacji. Któż to teraz umiera podczas operacji, nawet jeśli stracił w ostatnim czasie mnóstwo kilogramów i osłabł bardzo. Nawet jeśli kiedyś tam chorował na serce. Od czego w końcu jest przy stole operacyjnym czujny anestezjolog?